

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

6)

Ale Marto, posłuchaj mnie. Trzy długie lata trwało nasze rozłączenie. Ileż przez czas ten przeżyliśmy oboje! Zanim złączymy więc życia nasze na zawsze, niech żadne, najłżejsze nieporozumienie nie pozostanie poza nami — dobrze? Czy będziesz ze mną tak szczerą, jak ja nim będę dla ciebie, najdroższa?

— Będę — odpowiedziała gwałtownie młoda dziewczyna. — Opowiem ci wszystko, wszystko. Siadał tu. Wypowiadałam się przed tobą z najtajniejszych myśli moich, a potem przyjdzie kolej na ciebie.

I zapominając o późnej już godzinie, Marta pociągnęła Armanda na miękką kanapkę, znajdującą się w rogu buduaru i oparłszy głowę na jego ramieniu, opowiadać zaczęła cichym, wzruszonym głosem.

VIII.

— We wsi Miserey, niedaleko Besançon, znajduje się niewielka posiadłość, własność Sióstr Augustynek, zajmujących się od lat już wielu wychowaniem opuszczonych sierot. W pożytecznej tej, ciężkiej pracy dopomagały zakonnicom okoliczne panie, tak zwane patronessy zakładu.

Jedną z najgorliwszych i najinteligentniejszych była prezydentowa Vancellier. Zaczęła ta kobieta miała tylko jednego siostrzeńca, który w przyszłości miał się stać jej spadkobiercą. Był to ostatni nicpoń, któremu pani Vancellier posyłała pewną sumę z formalnym nakazem nie pokazywania się jej na oczy. Pewnego razu, będąc w zakładzie, pani Vancellier zwróciła uwagę na małą dziewczynkę, sierotkę. Nazywano ją Martą, a nazwiska nie posiadała żadnego. Nie wiadano również, skąd pochodzi, kim była jej matka. Do zakładu Augustynek została oddana przez księży. Tajemnica, otaczająca to dziecko, przyczyniła się zapewne w dużej mierze do obudzenia sympatii pani Vancellier, która, ilekroć zjawiała się w zakładzie, kazała natychmiast przywoływać do siebie sierotę, rozmawiała z nią, pieściła, obdarzała lalkami i cukierkami. Aż pewnego dnia energicznym głosem oznajmiła zakonnicom, że dziecko zabiera ze sobą i zajmie się jego przyszłością. Marta miała wówczas lat dziesięć.

Zakonnice nie uczyniły żadnych przeszkód i tego samego dnia jeszcze pani Vancellier uwiozła małą Martę do swojej posiadłości, znajdującą się w okolicach zakładu.

Otóż w bliskości tej posiadłości wznosiła się duża fabryka zabawek, której właścicielem był pan Sorel, niegdyś robotnik w tej samej fabryce.

Żona jego, łagodna, cicha istota, odwiedzała często panią Vancellier. Była ona cała pochłonięta troską gospodarstwa domowego i przyszłością jedynego syna, którego ojciec z uporem egoistycznym pchał ku ciągłej, nad siły pracy naukowej, chcąc z niego uczynić sławnego inżyniera technika.

Nieliczne dni wolne od tyranii i ciągłego nadzoru męża spędzała pani Sorel wraz z Armandem u swojej starej przyjaciółki pani Vancellier.

Tam to Marta i Armand zaznajomili i zaprzyjaźnili się ze sobą.

Lata biegły bez żadnych zmian, zacieśniając tylko gorącą zażyłość, jaka wytworzyła się pomiędzy obydwojma rodzinami, zamieniając tylko dziedziną sympatyę dzieci w uczucie głębsze i poważniejsze.

Nadszedł nareszcie oczekiwany niecierpliwie dzień, w którym Armand, po odbyciu wszystkich egzaminów, spędzeniu lat paru w Szkole centralnej w Paryżu, powrócił z patentem wyższego inżyniera, mając jeszcze tylko do odświeżenia rok służby wojskowej. W tym samym czasie Marta, która również pracowała gorąco, w nadziei dorównania Armandowi, uzyskała dwa patenty wyższych szkół, otwierające jej drogę do pracy samodzielnej, lub wyższej jeszcze nauki.

Marta od pierwszych lat kochała Armanda, a on nie wyobrażał sobie dalszego życia bez niej.

Pani de Vancellier, która patrzyła pobłażliwie patrząc na wzrastającą miłość obojga, snuła długie plany o ich przyszłości z panią Sorel, powtarzając zawsze dla uspokojenia ambitnych pragnień jej męża, że Martę uczyni swoją jedyną spadkobierczynią.

Tak stały rzeczy, kiedy Armand, jako ukoń-

czony inżynier po odbyciu służby wojskowej — powrócił na czas pewien do domu. W dniu tym, państwo Sorel, chcąc uczcić syna, wydali wykwintny obiad proszony, na którym zjawili się najbliżsi znajomi obydwoh rodzin. Po obiedzie, kiedy podano już kawę i likiery w buduaru, przyległym do salonu, pani Vancellier wzięła na bok pana Sorel i kazała mu usiąść przy sobie na kanapce.

— Mój przyjacielu — zaczęła, od razu przystępując do sprawy, interesującej ją najżywiej — przeznaczyłam dla Marty dwieście tysięcy franków posagu. Notaryusz mój jest już uprzedzony. Nie widzę potrzeby zwlekania. Kiedy podpiszemy kontrakt ślubny?

— Cóż tak nagli? — odparł trochę niechętnie fabrykant. Miał on w duszy myśl ukrytą. Niepokonany w ambicji i próżności, marzył o tem, aby Armand stał się zięciem pana Coffy, właściciela jednej z największych fabryk w okolicy.

— Nie, nie nagli — jednakże są to sprawy, których zwlekać nie należy — odpowiedziała stanowczo pani Vancellier. — Dzieci nasze się kochają, przeszkód żadnych nie widzę, więc potrzeba zdecydować o dniu ślubu.

— Zostawiam to decyzji kochanej pani — zgodził się w końcu pan Sorel — dla którego wymieniona suma posagowa Marty i nadzieje na przyszłość nie były bez znaczenia.

— Doskonale! — zawołała pani Vancellier, zadowolona ze zwycięstwa. — Sądzę, że zapowiedzi wyjść mogą jeszcze tej niedzieli, w następnym zaś tygodniu odbędzie się ceremonia ślubna. Dzieci! — zawołała na siedzących opodal Martę i Armanda — czy nie macie nic przeciwko temu?

Za całą odpowiedź Marta rzuciła się w jej ramiona, Armand zaś pochwycił jej rękę i zaczął je okrywać gorącymi pocałunkami.

Dnie, które nastąpiły po tej rozmowie, były dla narzeczonych jedną godziną radosnego olśnienia i gorączkowej czynności.

Marzenia, rozmowy, przygotowania wypełniły chwilę każdą.

Ślub miał się odbyć w Besançon, gdzie już na stałe miała pani Vancellier zamieszkać z młodem małżeństwem, w obszernym, starym swoim domu, mieszczącym się w rozległym parku.

Ale w przeddzień wyjazdu, pani Vancellier, na którą widocznie źle oddziaływały wzruszenia ostatnich dni — zasłabła nagle.

Chcąc jednak zapanować nad ogarniającym ją osłabieniem, usiłowała wstać rano z łóżka, jednakże przeceniła swoje siły i opadła bezwładnie na ręce wierniej swojej służącej, zatrwożonej silnie jej stanem.

Marta i Armand, którzy znajdowali się niedaleko, przybiegli z pomocą i zaniesiono chorą na łóżko.

Po długiej chwili omdlenia pani de Vancellier nareszcie otworzyła oczy i wymówiła słabym, przerywanym głosem:

— Źle ze mną, moi kochani — zapomniałam zupełnie o zaniedbanej chorobie serca... która tak nie w porę odezwała się teraz... Prędko, prędko, posłajcie po notaryusza...

— Po doktora przedewszystkiem! — zawołała blada z przerażenia Marta.

— Nie, nie — po notaryusza, a potem... jeżeli chcecie, po doktora... i księdza.

W dwie godziny później pani Vancellier nie żyła.

Zawezwany notaryusz nie zdążył jednak przybyć na czas, aby odebrać ostatnią wolę umierającą.

Na chwilę przed śmiercią odzyskała przytomność i widząc Martę zalewającą się gorącymi łzami, kłęczącą przy łóżku — szepnęła, wyciągając do niej rękę.

— Biedne, biedne dziecko! Co się teraz z tobą stanie. Wybacz mi Marto...

Śmierć opiekunki okazała się dla młodej dziewczyny o wiele fatalniejszą, niż ją w pierwszym wybuchu rozpaczyci docenić mogła.

Pani Vancellier nie pozostawiła bowiem żadnego zabezpieczenia testamentowego na jej korzyść. Odeszła nagle, nieprzygotowana, pozostawiając Martę bez żadnej opieki i oparcia materialnego, a siostrzeniec jej stał się siłą faktów jedynym jej spadkobiercą.

Marta dowiedziała się o wszystkim z ust Armanda i przyjęła tę wiadomość obojętnie, z rezygnacją, nie zdając sobie sprawy, że zaważy ona na całej dalszej jej przyszłości.

O jednej tylko rzeczy pamiętała w swojej boleści, że ojciec Armanda nie chciał już teraz zezwolić na ich małżeństwo.

Zrozpaczony jednak Armand nie tracił ostatniej nadziei. Postanowił walczyć do ostatka z wolą ojca i wraz z Martą zgodził się na ostatnią próbę, na rozmowę z panem Sorel, którego miał ufnosć zmieknąć prośbami i wymóc na nim cofnięcie egoistycznego nakazu.

Przeliczyli się jednak oboje.

Pan Sorel przyjął zimno i niechętnie Martę i oznajmił jej bezwzględnie, że nigdy nie uważał jej związku z Armandem za stosowny dla niego, a tembardziej teraz i że Armand może z otwartymi rękami być przyjętym w niejednej, znacznej i bogatej rodzinie. Wspomniał również o panu Coffy i jego córce Bercie, której ojciec wyznaczył pół miliona posagu w dzień ślubu, czyniąc ją poza tem jedyną właścicielką olbrzymich fabryk po jego śmierci.

Marta, wysłuchawszy tej przemowy z zaciśniętymi ustami — wyszła, nie wymówiwszy ani jednego słowa pożegnania, z głową dumnie wzniesioną, z palającymi gniewem oczami.

Nie pozwoliła nawet Armandowi towarzyszyć sobie poza obręb fabryki.

— Oczekuję cię dzisiaj wieczorem u siebie — wyrzekła tylko, patrząc ze współczuciem na bladą, zmienioną twarz Armanda. — Teraz pozostaw mnie, muszę skupić się i rozważyć.

— Marto! — zawołał Armand, ujmując jej rękę — Cokolwiek zadecydujesz, jestem na zawsze do twojego rozporządzenia... na wieki twoim... pamiętaj. Zaklinam cię na wszystko, nie niszc, nie skazuj na zagładę miłości naszej jakim nieodwołalnym postanowieniem, które ci podszepnąć może ból i urażona godność kobieca! Pamiętaj Marto, że bez ciebie życie jest dla mnie niczem!

Marta, powróciwszy do domu opiekunki, zastała w nim siostrzeńca, który, zawiadomiony przez władze, pospieszył, aby jak najprędzej objąć w posiadanie należący mu się z prawa majątek.

Był to człowiek o niemilym wyglądzie, niski, gruby, rysy miał pospolite, nie wyrażające żadnej inteligencji wyższej.

— Proszę pani — wyrzekł protekcyjnym tonem, ukłoniwszy się Marcie dosyć zimno — wiem, że zawdzięczam tylko przypadkowi szczęście, jakie mnie spotyka.

Marta przy tych słowach obrzuciła go pogardliwym, ironicznym spojrzeniem.

— Szanowna ciotka! moja, pani Vancellier, nienawidziła mnie — ciągnął dalej niezrażony — i wiem, że prawdziwie macierzyńską opieką i miłością otaczała panią. Pani więc oczywiście zamierzała oddać cały swój majątek. Niestety, stało się inaczej... Jednakże niech pani nie sądzi, że jestem człowiekiem wyzutym z serca i z galanterii dla pań... O ile jeszcze są tak piękne i sympatyczne, jak pani...

Marta, silnie urażona jego słowami, spojrzała na niego jeszcze z silniejszą pogardą i zamierzała oddalić się bez słowa — lecz gruby jego kształt zastąpił jej drogę i śmiejąc się rubasznie, zawołał:

— Ohi nie odejdzie pani, aż wysłucha mojej propozycji. Gdyby pani była podobną do innych kobiet — zaproponowałbym sympatyczny układ, który z pewnością zadowoliliby nas oboje...

— Panie! — krzyknęła Marta, drżąc z gniewu i oburzenia.

— Ale, że pani taką nie jest niestety — mówił dalej, nie zwracając uwagi na jej okrzyk — więc uwiadamiam panią, że dom ten pozostawiam do użytku pani jeszcze miesiąc jeden...

— Opuszczę go jutro na zawsze — rzuciła ostro Marta.

— Tak! Jak pani sobie życzy! Oczywiście zabierze pani stąd to, co jest jej osobistą własnością i co zechce pani sobie jeszcze wybrać.

— Zabiorę tylko to, co do mnie należy.

— Źle pani czyni — odparł poważniejszym głosem jegomość, patrząc na Martę z podziwem i pewnem współczuciem, — Jestem dla pani jak najlepiej usposobiony. Notaryusz ciotki nakazał mi być względny. Przygotowałem tu własne pięćdziesiąt tysięcy...

— Dziękuję panu — przerwała Marta. — Nie żądałam i nie oczekiwałam niczego po mojej opiekunce. Zawdzięczam jej wiele, zawdzięczam jej dosyć, aby nie być zmuszoną przyjmować jałmużny pana, ani niczyjej...

— Ależ to nie jest jałmużna... Właściwie, gdyby nie brak testamentu... Ah! doprawdy, nie wiem, jak mam z panią mówić.

(Ciąg dalej nastąpi).